

„Więzienny Szczur” – wspomnienia kombatanta

Warszawa, 17 listopada 1996

Zgon stwierdzono o godzinie 12:42. Ciało odnalazł dozorca, zaniepokojony faktem, że od dłuższego czasu nikt nie opróżniał z listów skrzynki pocztowej denata. Pukając do drzwi nie usłyszał odpowiedzi i skorzystał z zapasowego klucza. Staruszek już od dłuższego czasu nie żył.

Lekarz, który przyjechał na miejsce, nie miał właściwie dużo pracy. Po wypisaniu aktu zgonu postanowił się trochę rozejrzeć. Na stoliku nocnym zobaczył wysłużony notatnik, leżący grzbietem do góry, otwarty na jednej ze stron. Pozwolił sobie spojrzeć:

Czuję, że moje życie zbliża się ku końcowi. Życie długie, zadziwiająco długie wręcz, zważywszy na to, w czym zdarzało mi się maczać palce za młodu. Siedząc teraz, w wygodnym fotelu małego, warszawskiego mieszkanka, nawiedzają mnie demony przeszłości. To jeden z tych dziwnych dni, w których pamięć zdaje się być całkiem w normie, ale ciało jakby zupełnie odmawiało posłuszeństwa. Noga, w którą zostałem postrzelony przeszło pięćdziesiąt lat temu, boli dokładnie tak, jak wtedy, w chwilę po usłyszeniu wystrzału. Ale ten ból zdaje się być niczym w porównaniu do tej ogromnej pustki, zżerającej jakby człowieka od środka. To straszne, jak uciążliwa potrafi być samotność. Już w czasie wojny straciłem rodzinę. Dom, w którym się wychowałem przepadł na zawsze, zostały po nim tylko mgliste wspomnienia, jakby kadr ze starego filmu. Pełen rozgoryczenia i nienawiści wszedłem w dorosłe życie. Złość była dla mnie niczym tlen, a żywione urazy pozwalały mi łatwiej pociągać za spust. Wszystko to sprawiło, że nie zjednywałem sobie ludzi. Wołałem trzymać ich na dystans, a całą swoją energię poświęcić wyższemu dobru, w którego ideały przecież tak bardzo wierzyłem.

Usłyszałem brzdęk, dźwięk w mojej głowie. Jakby sztućce upadające na kafelkową podłogę. Coś mi się przypomniało... No tak. Haneczka, jak mogłem zapomnieć. Ostatnio coraz częściej mi się to zdarza. Przestałem już nawet siebie oszukiwać, że wciąż jestem zdrowy. Zaakceptowałem opinię zgryźliwego starca z demencją, bo tak w niewybredny sposób jestem nazywany wśród sąsiadów. Nie to, żebym jakoś bardzo przejmował się tym, co mówią ludzie. Nieraz znosiłem większe obelgi. Tylko że... Tak, wtedy był to motor do działań, a teraz... smutna prawda, którą co najwyżej można zaakceptować, bo walczyć z nią? Na walkę już dawno nie mam sił. Gdyby tylko znali moją, przeszłość... Nieważne zresztą, nie to powinno teraz zaprzętać mi głowę. Staram się uchwycić wspomnienia na tak długo, jak tylko mogę, o tej jedynej osobie, na której mi kiedyś tak bardzo zależało, i być może jedynej, która to uczucie odwzajemniała. Ta kasztanowłosa dziewczyna z Zamościa, która w czasie największego kryzysu, bez pytania i bez strachu podała mi pomocną dłoń, jako jedyna potrafiła wywołać na zniszczonej przez strach i walkę twarzy promienny uśmiech. Tyle to już lat minęło od mojej ucieczki. Tyle bezsensownych, pustych lat bez widoku jej cudnych, ciemnozielonych oczu. Już nigdy nie poczułem tego samego uczucia, co wtedy. Codziennie modliłem się o cofnięcie czasu. Wiem, że zrobiłbym wszystko, by pozostać i nie musieć wtedy odchodzić. Zadaję sobie pytanie, czy ten heroizm, który wykazałem zostawiając ją, nie narażając na dalsze niebezpieczeństwo, był wart całego mojego życia w nieszczęściu. Szczególnie teraz, gdy mimo oddania się w imię słusznej sprawy, nikt już nie raczy o mnie pamiętać...

Jestem zmęczony. Po ludzku zmęczony. Chyba wolę stany, w których jasność umysłu przyćmiewana jest przez powiększające się dziury w mózgu. I jeszcze ta cholerna noga! Nie mam już siły dalej pisać, pójdę się położyć...

Były to ostatnie słowa człowieka, który z pozoru wydawał się być, zamkniętym w sobie, z lekka zgorzkniałym staruszkim. Jego historia, została jak widać zapomniana, szczęśliwym trafem jednak, w ręce postronnego człowieka trafił pamiętnik, w których opisał wszystkie swoje nieprawdopodobne losy. Lekarz drżącą ręką przekartkował notatnik na jedną z losowych stron.

Prolog, dawno temu

„Zaplute karły reakcji”. To stwierdzenie wyprowadzało Rafała z równowagi, jak żadne. Godził się na leśnych bandytów, przestępców, zbrodniarzy.. Po raz pierwszy spotkał się z tym określeniem krótko po wojnie, w pewnym mieście, jeszcze zanim zupełnie zszedł do podziemia i włączył się w szeregi partyzantów. Widniało na jednym z propagandowych plakatów, na którym karzełek z przewieszoną przez szyję tabliczką z literami „AK” opluwał żołnierza oficjalnego Wojska Polskiego. Zdał sobie wtedy sprawę, że choć obraźliwe i propagandowe, to chcąc nie chcąc, dość trafne przyrównanie. Przecież ta garstka zbuntowanych, która po roku 45’ nie złożyła broni, widząc nowe zagrożenie, była niczym karzełek w porównywaniu do wroga – olbrzyma. Wzburzony, zerwał wtedy plakat, jednocześnie w tej samej chwili zdając sobie sprawę, jak głupio postąpił. Na szczęście nikt nie zauważył tego aktu, a sam Rafał szybko się oddalił. I choć w późniejszym czasie, nie przywiązywano wagi do tego określenia, a sama propaganda odniosła raczej odwrotny do zamierzonego skutek i społeczeństwo poznało się na zakłamaniu władzy, to nazwanie Rafała karłem, już na zawsze pozostało dla niego największą obelgą.

Nie było to jednak jedyne zmartwienie dowódcy rejonu. Ciągle borykał się z wątpliwościami, o słuszność walki, w jakiej oni wszyscy biorą udział. Zaczynał wątpić, czy ten mizerny, zbrojny opór jest w stanie przynieść jakikolwiek skutek. Partyzanci wydawali się być raczej uciążliwą muchą, może komarem atakującym szyje Sowietów w upalny, letni dzień, aniżeli realnym zagrożeniem. Jednocześnie, zwykle poddanie się, czy ucieczka nie wchodziły w grę. Była to nie tylko kwestia honoru, Rafał po prostu nie umiał stać bezczynnie, gdy widział, że dzieje się coś złego. A działo się bardzo niedobrze. Zaraz po wygranej wojnie, po krótkiej chwili euforii, na Polskę spadło nowe, kto wie czy nie gorsze zagrożenie. Cały kraj znalazł się w rękach Stalina, sterowany utopijną, marksistowską wizją, która niczego dobrego nie mogła przynieść. Z drugiej strony, nie był egoistą. Rozumiał, że takie postrzeganie świata nie dotyczy każdego i to, co dla jednych będzie sprawą honoru, dla drugich będzie wyglądało na bezsensowne poświęcenie i zupełnie niepotrzebne narażanie swojego zdrowia lub życia.

Jeszcze inni mieli po prostu dla kogo żyć. Stawiali miłość do swoich bliskich ponad wszystko, jednocześnie obawiając się tego, jak straszną krzywdę mogliby wyrządzić swoją ewentualną śmiercią, tym których kochają. To naturalne, że w takim wypadku, woleli zaakceptować smutną, rosyjską wizję Polski, aniżeli dalej trzymać karabin w dłoni i walczyć. Ale przede wszystkim, wszyscy byli po prostu zmęczeni. Zmęczeni i sfrustrowani. Rafał nie był wyjątkiem. Wciąż zadawał sobie pytanie, dlaczego to właśnie jego naród musiał spotkać taki los. Dlaczego, po naprawdę trudnych wiekach w historii Polski, gdy wszystko wydawało się być na jak najlepszej drodze do pokoju i niepodległości, znowu musieli pojawić się ludzie, którzy te nadzieje zrównali z ziemią.

„I dlaczego ten świat jest taki niesprawiedliwy?” – pytał się sam siebie każdego ranka. Dzisiaj, wychodząc z namiotu z niewiadomych powodów, przypomniały mu się losy dawnych kompanów sprzed niespełna roku, którzy zdecydowali się zacząć wszystko od nowa. Wyjść z podziemia, wrócić do rodzin, po prostu – zacząć normalne życie, bez całej tej konspiracji, planów dywersyjnych, i ciągłego narażania życia. Niestety, nawet to nie było im dane. Zdrajcy z UB wraz z tymi rosyjskimi psami, wyłapały każdego. To nie byli ludzie,

którzy odpuszczają. Czekali, aż ktoś straci czujność, a wtedy pozbawiali człowieka wszystkiego. Śmierć zdawała się być jednym z jaśniejszych scenariuszy...

Polska, marzec 1946

[Rafał]

„W ten sposób straciłem kilka naprawdę ważnych dla mnie osób. I choć zdaję sobie sprawę, że to nie moja wina, to fakt, że to ja pomagałem im w próbach rozpoczęcia wszystkiego od nowa, ciągle nie daje mi spokoju. Ciągle myślę, że gdybym wtedy powiedział im, że to beznadziejny pomysł, żeby dali sobie z tym spokój, nadal mogliby tutaj ze mną być. Szczęśliwi, czy nie, zapaleni do walki, czy z utraconą nadzieją – żyliby. Tymczasem z rozmyślań wyrwał mnie krzyk, jednego z dawniej szkolonych przeze mnie żołnierzy, teraz pełnoprawnego członka AK, ale wciąż młokosa, niespełna dwudziestodwuletniego Bronka.

- Panie poruczniku! – krzyknął salutując – przyszedły rozkazy od dowództwa. – Widziałem, że w dłoni trzymał kartkę.

- Podaj mi to, szybko. – Wyrwałem mu ją z dłoni. Zastanawiałem się, co w końcu nam się trafiło. Początek oporu przeciwko Sowietaom zapowiadał się obiecująco. Mojemu oddziałowi udało się zdobyć jeden posterunek milicji i znajdujące się w niej uzbrojenie, a także uwolnić około dwudziestu więźniów. Było to zaledwie kilka różnych akcji. Jednak teraz, od prawie dwóch tygodni, byliśmy zupełnie bezczynni. Oczywiście, musieliśmy trochę przystopować, bo dalsze, wzmożone działania na tym terenie, mogłyby doprowadzić do sprowadzenia posiłków do rejonu, co byłoby dość problematyczne, dlatego też na pewien czas wycofaliśmy się do lasów. I choć rozumiałem rozsądnosc w podejmowaniu działań (a raczej ich braku), to moje gorące serce, wciąż rwało się do walki. Mimo to, byłem przecież dowódcą. Nie mogłem okazać takiego braku opanowania, wpłynęłoby to na morale oddziału, a ostatnie co mi teraz do życia potrzebne to samowolka moich żołnierzy!

- No nie – wyszeptalem, jednocześnie otwierając oczy ze zdumienia. – Że też zdecydowali się na taki krok!

- Co tam piszą, panie poruczniku? – zapytał, ciekawski jak zwykle Bronk. Spojrzałem na niego. Normalnie, powinienem zganić żołnierza za taką wścibskość, ale chyba miałem słabość do tego dzieciaka.

- Dowiesz się w swoim czasie – uciałem i wróciłem do namiotu. Zgniatając kartkę z rozkazem i wrzucając ją do ogniska, zaraz po tym, jak dokładnie zapamiętałem treść. Nie mogłem wyjść ze zdumienia. To, co tam napisali, przerosło moje najśmielsze oczekiwania.

Mieliśmy rozpocząć przygotowania do największej i zarazem najśmielszej akcji w rejonie - uwolnienia znacznej liczby więźniów: AK'owców, działaczy podziemia, dowódców i działaczy niepodległościowych, wprost z jednego z większych więzień w okolicy! Pomysł w pierwszym odczuciu wydał mi się absurdalny, a realizacja musiałaby chyba wiązać się z próbą samobójczą. Z drugiej jednak strony... Po chwili doszedłem do wniosku, że skoro nawet ja nie spodziewałem się czegoś takiego, to Rosjanie tym bardziej, a element zaskoczenia zdecydowanie działał na naszą korzyść.

- Straż! – Natychmiast do namiotu wszedł jeden z żołnierzy pełniących wartę.

- Przyslijcie tu do mnie Wilczka.

W rozkazie opisano tylko ogólne zamiary dowództwa. Właściwie, to poza nakazem odbicia więźniów, nie otrzymaliśmy wiele więcej informacji i w zasadzie sami mieliśmy przeprowadzić odpowiednie rozpoznanie i przygotowany plan omówić z górą, a po zatwierdzeniu – wprowadzić go w życie. A do tego właśnie potrzebny mi był Wilczek. Znałem go od lat, długo ze sobą współpracowaliśmy. Poznałem go krótko po pamiętnym wrześniu 39', kiedy to zostałem wzięty do niewoli a następnie byłem transportowany w głąb Rosji. Wilczek jechał w tym samym wagonie co ja. Szybko się ze sobą zaznajomiliśmy,

a parę dni później pośród wycia rosyjskich psów i huków wystrzałów – biegliśmy na oślep, byle dalej. Tak. Udało nam się uciec z transportu. Wciąż po latach, zastanawiam się, ile musieliśmy mieć szczęścia i jak wielka była w tym boska pomoc. Równie dobrze, moglibyśmy teraz leżeć kilka metrów pod ziemią, z przedziurawioną czaszką. Niemniej jednak, po powrocie do Polski, mimo trudnych przeżyć znowu zaangażowaliśmy się w działalność podziemia. Kiedyś – przeciwko Niemcom, teraz – przeciwko Sowiecom. Ale wciąż – razem. Mimo to, mimo tak wielu wspólnych przygód, wspólnych akcji, pośród strachu i heroiczych czynów, nadziei i zwątpienia nadal mam wrażenie, że nie rozumiem do końca Michała, vel Wilczka. Z pewnością mogę nazwać go przyjacielem. Wiele razy mu zaufałem i się nie zawiodłem. Wiem, że dalej mogę mu ufać i liczyć, nawet w najgorszych sytuacjach. Sam także zrobiłbym dla niego wszystko, gdyby mnie o to poprosił. A jednak... Jakaś część jego życia była zarezerwowana tylko dla niego i nikt inny nie miał do niej dostępu.

Ale przede wszystkim, teraz był potrzebny do realizacji planów związanych z atakiem na więzienie. Potrzebowaliśmy informacji, jak najwięcej. Ponadto, przydałoby się ludzie wewnątrz. A nikt tak doskonale nie potrafił wmieszać się w tłum i rozwiązywać innym języki, jak on. Nieuchwytny i skuteczny. Były to niezbędne umiejętności do wykonania tego zadania.

- Rafał? Posłałeś po mnie, o co chodzi? – „Jak zwykle przechodzi od razu do rzeczy – przeszło mi przez myśl”

- Usiądź, szykuje się grubsza akcja...

Warszawa, 17 listopada 1996

Michał przysiadł się do mnie i zaczęliśmy przygotowanie do naszej największej wspólnej roboty...”

Tymi słowami Rafał zrelacjonował mi ten pamiętny dzień. Po zastanowieniu, doszedłem do wniosku, że te sprawy mogły zaprzętać jego wiecznie zmartwioną głowę. Znałem jego rozterki odnośnie mojej osoby. Żaden z nas nie domyślał się wtedy nawet, że ta rozmowa będzie jedną z naszych ostatnich...

- *Niesamowite! – powiedział sam do siebie lekarz – zatem autor tego pamiętnika, a zarazem ten biedny staruszek to Wilczek! Ciekawe co zatem stało się z Rafałem... Nie dane było mu jednak długo się zastanawiać. Miał jeszcze dzisiaj kilka wizyt. Wiedział, że nie powinien tego robić, z lekkim wahaniem zabrał jednak notatnik ze sobą.*

Do dalszego czytania przystąpił dopiero późnym wieczorem, gdy wrócił od ostatniego pacjenta. Był strasznie zmęczony, ale jedyne o czym marzył przez cały dzień, to powrót do zajmującej lektury. Usiadł w fotelu i czytał dalej:

To co wtedy usłyszałem od Rafała przerosło moje oczekiwania...

Polska, marzec 1946

[Michał]

- Przecież to brzmi raczej jak samobójstwo, aniżeli plan! – wybuchłem, po wysłuchaniu zamiarów Rafała – naprawdę chcesz ich wszystkich odbić? Myślisz, że Ruscy pozwolą Ci od tak, wejść do kontrolowanego przez nich więzienia, wypuścić osadzonych z cel, a potem wyjść bez szwanku? Może jeszcze liczysz na ciepły poczęstunek?

- Daruj sobie te złośliwości. Takie są rozkazy od góry. Nie mam na nie wpływu i dobrze o tym wiesz. Poza tym, zastanów się chwilę. To może się udać. No bo w końcu, kto się tego spodziewa...

- Dobijasz mnie z tym swoim optymizmem... Ale niech Ci będzie. Gdzie tutaj widzisz moją rolę?

- No. Taką postawę to ja rozumiem. – Rozpromienił się, - Jedź do miasta. Posiedź tam trochę. Popytaj. Może uda Ci się znaleźć kogoś przychylnego w samej placówce. W końcu pracują tam też przecież Polacy. Zależy mi także na każdej możliwej do zdobycia informacji. Kto jest strażnikiem, ilu ich jest, jak mają rozstawione warty, rozkład pomieszczeń.

- Zdajesz sobie sprawę, że to może trochę potrwać.

- Tak, wiem. Ale nie mamy innego wyjścia...

Nazajutrz, o poranku byłem już gotów. Przebrałem się w cywilne, w miarę schludne ciuchy i zabrałem najpotrzebniejsze rzeczy, które miałem w obozie, a mogły przydać się podczas misji. Nie obyło się oczywiście bez serdecznego pożegnania z przyjacielem i mogłem ruszać w drogę.

Sama podróż przebiegała bez przeszkód. Na granicy lasu spotkałem jakiegoś rolnika, jadącego furmanką, który zaoferował mi małą podwózkę. Dzięki temu na miejscu byłem jeszcze tego samego dnia, późnym wieczorem. Pierwszą noc spędziłem u starego znajomego, który, choć nie włączał się otwarcie w walkę, nie odmawiał pomocy partyzantom. Zdawałem sobie jednak sprawę, że nie mogę mieszkać w jednym miejscu zbyt długo. Nie chodziło tylko o mnie, nie chciałem sprowadzić kłopotów na głowy moich dobroczyńców.

Przez parę tygodni, tułając się od domu do domu, próbowałem znaleźć jakiś punkt zaczepienia, bezskutecznie. Znalazłem natomiast coś innego, miłość swojego życia, Haneczkę. Poznałem ją w zasadzie przez przypadek. Okazała się być pielęgniarką, pracującą w szpitalu, a także pomagającą w miarę możliwości grupom partyzanckim w okolicy miasta. Ponadto, mieszkała parę ulic od więzienia, tak więc swobodnie mogłem realizować swoje, wyznaczone mi zadania. I choć na początku miałem zamiar, dzięki jej życzliwości, pozostać u niej tylko przez kilka dni, to od pierwszego naszego spotkania już wiedziałem, że coś zaiskrzyło. Wkrótce potem nie umieliśmy bez siebie żyć. Byłem najszcześniejszym człowiekiem na świecie. Miłość sprawiała, że w tej ponurej rzeczywistości, świat wydawał się odrobinę lepszy, odrobinę piękniejszy. Oczywiście, byłem profesjonalistą, wiedziałem, że to uczucie nie może przeszkodzić mi w realizacji wyznaczonego celu. Ale o to nie trzeba było się martwić. Umiałem oddzielić obowiązki od przyjemności.

Dwa tygodnie po poznaniu Haneczki nastąpił przełom w misji. Dzięki koneksjom udało mi się dotrzeć do dwóch strażników, pracujących w więzieniu, skłonnych do współpracy. Oczywiście, nie okazali się oni bezinteresownymi dobrodziejami, ponieważ za informację zażyczyli sobie sporej sumki, ale sprawa była tego warta. Po złożeniu raportów do dowództwa, uzyskaliśmy zgodę na kontynuację wyznaczonego zadania i zaczęliśmy przygotowania do naszej akcji. Dzięki takim informatorom, prześwietliliśmy nasz cel wzdłuż i wszerz. Znaliśmy dokładny rozkład pomieszczeń, kluczowe przejścia i drzwi, godziny wart i zmian, nawet to, kiedy naczelnik zajadał się swoim obiadem. Spisywanie wszystkiego i układanie w zgrabne raporty było żmudną robotą, ale sprawiała mi ona ogromną przyjemność. W końcu, z takim rozpoznaniem, wszystko musiało pójść jak z płatka. Rafał również nie próżnował. Informacje to jedno, ale nam przede wszystkim potrzebny był dobry plan. Dlatego, długie godziny spędzał, ślęcząc nad cotygodniowymi, uaktualnianymi raportami z mojej strony, próbując przewidzieć wszystkie ewentualności i zdecydować się na jak najskuteczniejszą strategię.

Warszawa, 18 listopada 1996

Lekarz w końcu oderwał się od lektury i spojrzal na wiszący na ścianie zegar. Było już dawno po północy. Oczy same mu się zamykały, łaknąc snu. Mimo to, walczył z wszechogarniającym zmęczeniem, ciekaw dalszych losów Michała i Rafała. Spojrzal

z powrotem na pamiętnik. Dalsze strony zawierały mniej lub bardziej dokładne opisy składanych raportów, do których załączone od czasu do czasu były rysunki. „Niewiarygodne, że po tylu latach wciąż to pamiętał” – pomyślał. Przekartkował kilka stron i uśmiechnął się, gdy w końcu natrafił na to czego szukał.

- W końcu zaczyna się akcja.

Polska, maj 1946

Wszystko było gotowe. Po długich przygotowaniach, niezliczonych ilości różnych planów, w końcu ma nadejść ten kluczowy moment, Wtedy okaże się, czy nasze trudy były daremne, bo być może, nie sprostamy przydzielonemu nam zadaniu, ponieważ zawsze może wydarzyć się coś niespodziewanego, co pokrzyżuje nasze plany, czy też może porządnie utrzymy nosa Sowiетom. Każde takie akcje wiązały się z dużym ryzykiem. Byliśmy jednak gotowi na każdy scenariusz. Ja, Rafał i jeszcze dziesięciu innych, najlepszych ludzi z naszego oddziału czekaliśmy na odpowiednią godzinę.

Zapał wieczór. Padał lekki deszcz, ale kształty skąpane w blasku księżyca i lamp ulicznych były dobrze widoczne. Około godziny 20:00, wszyscy wyruszyliśmy z domu Haneczki, w kilka minut później, mogliśmy zająć przydzielone nam stanowiska w okolicy więzienia. Ja, Rafał i jeszcze jeden chłopak, na którego wszyscy wołali, nie wiedzieć czemu "Kontusz" zaczęliśmy się nieco dalej, dwie przecznice od miejsca akcji. Tą drogą, codziennie wieczorem, około godziny 20:30, wraz z bratem wracał z kolacji Wojciech Wróblewski - kierownik działu specjalnego. Jego pojmanie było kluczowe dla powodzenia misji.

- "Kontusz", zostaw tu swoją broń i leć zająć pozycję na skrzyżowaniu. Gdy zauważysz, że zbliżają się do rogu ulicy, zacznij iść powoli w naszą stronę, parę metrów przed nimi. Kiedy znajdziesz się na naszej wysokości, przykleknij, jakbyś chciał zawiązać buta, to powinno na chwilę wyprowadzić ich z równowagi, a nam zostaw całą resztę - powtórzył po raz setny Rafał.

- Tak jest panie poruczniku, i... proszę mi wybaczyć, ale te słowa śnią mi się po nocach, naprawdę dokładnie wiem co mam robić, proszę się nie martwić! - Mówiąc to, odłożył podręczny pistolet i udał się w wyznaczone miejsce.

Godzina 20:45. Rafał zaczyna się porządnie denerwować, gdyż "Kontusz" ciągle zajmował pozycję na skrzyżowaniu. Na szczęście, w końcu coś zaczęło się dziać i ujrzelśmy wynurzające się za rogu postacie. Cała akcja trwała dość krótko, samo pojmanie kierownika działu specjalnego i jego brata oraz ich rozbrojenie, przebiegło bez przeszkód. Nawet zbytnio się nie bronili - byli zbyt pijani.

- Przynajmniej wiemy, skąd to spóźnienie - skwitowałem.

W tym samym czasie, dwie ulice stąd realizowana była druga część fazy pierwszej naszego planu. Partyzanci, niepostrzeżenie przegrupowali się pod więzieniem, rozbrajając i ogłuszając wartownika stojącego przed bramą. Teraz, na drodze do celu stały tylko ciężkie, metalowe wrota.

W chwilę potem, prowadząc pojmanyh braci, dołączyliśmy do grupy żołnierzy, oczekujących nas pod więzienną bramą. Przed przystąpieniem do dalszego działania wszyscy odetchnęli na moment, uspokajając tętno. Chłopcy byli trochę zdenerwowani. Wiedzieli, że po następnym kroku, nie będzie już odwrotu. Potem już tylko "my albo oni". Trwali tak w ciszy przez kilka minut, nawet Rafał darował sobie ostateczne omówienie planu. Ufał swojemu oddziałowi, był pewien że go nie zawiodą. W końcu, z uśmiechem ulgi na twarzy, podniósł głowę i powiedział, tylko jedno słowo:

- Jazda.

Złapał spętanego Wróblewskiego za kurtkę i poprowadził w kierunku bramy. Przy tym, podobnie jak wcześniej towarzyszyłem mu ja oraz "Kontusz". Przerażony kierownik,

z bronią przyłożoną do głowy, nie stawiał żadnego oporu. Zgodnie z naszym poleceniem, podszedł do judasza i nakazał strażnikowi, pilnującemu drzwi od wewnątrz, otworzyć je. Ten, widząc swojego zwierzchnika od razu wykonał rozkaz. Tylko na to czekaliśmy. Rafał odepchnął pojmanego do tyłu, wprost w ręce reszty, a nasza trójka wpadła do więziennej dyżurki.

- Na ziemię! - krzyknął porucznik. Zero reakcji, nikt nie wykonał rozkazu. Strażnicy patrzyli się tylko na nas, z wyrazem zdziwienia na twarzy. Nie mogłem pozwolić, by wyrwali się z osłupienia i przejęli inicjatywę. Odepchnąłem Rafała na bok, a sam puściłem w ich kierunku serię ze stena. Dwóch padło na miejscu, a pozostała trójka szybko przywarła do podłogi. "Kontusz" zagwizdał przeciągle na znak, że wszystko się udało. "Faza druga, zakończona sukcesem" - przeszło mi przez głowę. Wyjrzałem przez okno, kolejna trójka żołnierzy, biegła w kierunku kancelarii, gdzie powinien znajdować się teraz naczelnik, z dwójką ochroniarzy. Gdy wbiegli do środka, nie było słychać żadnych strzałów, nie wiedziałem, czy to dobry, czy zły znak. Szóstka pozostałych w gotowości partyzantów przybiegła tymczasem w okolice dyżurki.

- "Kozik", "Józek" i "Lis". Wy zostajecie tutaj. Ubezpieczacie tyły i pilnujecie naszych kolegów. - W tym miejscu wskazał głową na spętanych trzech strażników. - Reszta, za mną. Pobiegliśmy w sześciu do wartowni, gdzie już czekał na nas komitet powitalny. W trakcie strzelaniny, jeden z naszych "Pancer", oberwał mocno w ramię, ale na pierwszy rzut oka wydawało się, że przeżyje. Wartownicy po kilku minutach walki poddali się w końcu, nie widząc szans na wygraną, pod zbyt silnym ostrzałem naszych zdobycznych karabinów maszynowych. Zabraliśmy klucze do cel, a wraz z nimi pojmanych strażników, do głównej hali, znajdującej się przy celach. Dołączyła do nas grupa z kancelarii. Okazało się, że im poszło najłatwiej. Zajęli ją bez jednego wystrzału.

- Ty tam! - zwrócił się Rafał do jednego ze strażników, którzy klęczeli w szeregu - podejdź tutaj, bierz klucze i otwieraj cele po kolei. Mężczyzna nie miał innego wyjścia, zabrał się do wyznaczonej mu pracy. Tymczasem, Ci, którzy nie zajmowali się pilnowaniem strażników, ustawiali uwolnionych w rzędach, tak by ułatwić im, bliską już ucieczkę. Stało się jednak coś niespodziewanego, chwila nieuwagi, może już rozluźnienia i jeden z pojmanych, jakimś cudem zdołał się uwolnić, chwycił za pistolet i zanim ktokolwiek się zorientował, wystrzelił. Śmiertelny pocisk, wycelowany został w młodego Bronka

- NIEEEEEEE! - przez następnych kilka chwil było słychać tylko krzyk Rafała, czas zwolnił, następnie huk kolejnego wystrzału i jęk, jeszcze przed chwilą strzelającego wartownika. Porucznik, chowając broń do kabury podbiegł do chłopaka. Niestety, nic już nie dało się zrobić. Mógł tylko patrzeć, jak dławiąc się własną krwią, odchodzi z tego świata. Wtedy pierwszy raz widziałem go płaczącego. Nie wiedziałem, co może się zaraz wydarzyć. Spodziewałem... Sam w sumie nie wiem czego. Ponownego wybuchu wściekłości? Wymordowania reszty strażników? Na pewno nie tego, co nastąpiło. Rafał wstał, przygnębiony i rozdarty, ale opanowany. Nakazał kontynuować uwalnianie więźniów, a sam jeszcze raz poszedł sprawdzić więzy pojmanych.

Dalsza część akcji przebiegła bez żadnych komplikacji. Nic więcej zaskakującego się nie wydarzyło. Strażnicy, pogodzeni ze swoim losem i pomni zemsty naszego dowódcy, po prostu w milczeniu obserwowali nasze poczynania. Gdy wszyscy więźniowie byli już poza swoimi celami, zaczęliśmy wprowadzanie. W maksymalnie ośmioosobowych grupach, pod naszą eskortą opuszczali mury więzienia i kierowali się na obrzeża miasta, a następnie do lasów, gdzie w większości porzyczali się we własne strony.

Ostatnimi partyzantami, którzy wyszli na zewnątrz więzienia, kończąc tym samym udaną operację, byłem ja oraz Rafał. Ciało Bronka chłopcy zabrali już wcześniej, żeby na pewno nie trafiło w ruskie łapska. Atmosfera była ciężka. Żaden z nas nie chciał tego mówić, ale wiedzieliśmy, że to czas pożegnania. W rejonie byliśmy spaleni, z pewnością Sowietci

poświęcą wszelkie środki, żeby nas dopaść. Oboje musieliśmy uciekać, a osobno mieliśmy większe szanse. Nie było czasu do stracenia. Strażnicy z pewnością niedługo się uwolnią i poruszą całe miasto.

- Zatem... To już chyba czas? - zacząłem, nie mogąc znieść milczenia.

- Michał... Przyjacielu... - Zrozumiałem. To było dla niego za dużo. Śmierć tego chłopaka, rozstanie z bratnią duszą, presja ucieczki. Objął mnie po przyjacielsku. Odwzajemniłem uścisk. Czułem się jakby ktoś dusił mnie i próbował wyrwać serce jednocześnie. Trwaliśmy tak kilka minut, a potem ze łzami w oczach udaliśmy się w przeciwne strony.

Nie był to dla mnie jednak koniec trudnych rozstań. Była jeszcze jedna, bardzo ważna dla mnie osoba, z którą musiałem się pożegnać. Pobiegłem szybko do mieszkania Haneczki. Swoje rzeczy miałem już spakowane. Uznaliśmy, że tak będzie najrozsądniej, gdyż dziewczyna nie była oficjalnie w nic zamieszana. Moja obecność mogła ściągnąć na nią jedynie kłopoty. Miałem zamiar wrócić, lub chociaż skontaktować się, gdy wszystko ucichnie, lub po prostu - w dogodniejszych dla nas czasach. Mimo planów i nadziei, rozstanie było trudne. Może nawet trudniejsze niż to z Rafałem. Ostatni pocałunek. Odwróciłem się, założyłem plecak na ramię i wyszedłem, zamykając za sobą drzwi.

Warszawa, 18 listopada 1996

Po latach, dochodzę do wniosku, że chyba wtedy już wiedziałem, że to nasze ostatnie spotkanie, tylko nie chciałem dopuścić do siebie tej myśli. Nie udało mi się już odnaleźć Haneczki, pomimo wieloletnich prób. Nigdy potem już się nie zakochałem, resztę życia spędziłem samotnie. A jeśli chodzi o Rafała... Parę lat później, próbowałem się z nim skontaktować, daremnie. Słyszałem, że niedługo po akcji z więzieniem napadł na bank, zgarniając sprzed nosa ładną sumkę rosyjskich pieniędzy. To było chyba za dużo, jak na jednego człowieka. W marcu 1949 został aresztowany, a niecały rok później skazany na śmierć.

Lekarz nie mógł wyjść ze zdumienia. To co właśnie przeczytał, człowiek któremu dziś rano wypisał akt zgonu, jego historia i dokonania były ważnymi elementami naszej historii! A mimo to, doczekał się tak marnego końca. Bez rodziny, bez przyjaciół, bez pamięci. "Ilu jeszcze jest takich ludzi? Zasłużonych, a zapomnianych?" - zastanawiał się gorączkowo - "Jak ich znaleźć? Jak pomóc?". Te rozmyślenia w końcu zmorzyły naszego bohatera i zapadł w głęboki sen.

Następnego dnia obudził się pełen sił, z głową jasną i pełną pomysłów. Już wiedział, co powinien zrobić. Postanowił założyć organizację, która będzie szukać i zrzeszać ludzi podobnych Michałowi, Rafałowi, Bronkowi i innym. Będzie im pomagać w razie potrzeby, ale przede wszystkim, dbać o ich pamięć.

- Dzisiejszy dzień zapowiada się dobrze.

Warszawa, 3 lutego 2011

Ustanowiony zostaje Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych.